Rok IV.

Nr. 24. Nr. 24.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 13 czerwca 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

Towarzystwo Nauk Ścisłych w Paryżu.

Mimo to, że wymagał od nas Jan hr. Działyński, ażebyśmy nie wspominali nawet o tém Towarzystwie, bo możeby rozgłos zaszkodził raczéj, — a nic nie dopomógł do jego rozwoju, — to nie możemy przytłumić wrażenia błogości, jakie nam to ciche a obfite źródło światła sprawia. W czasie szarlatanerji, — gdzie czcze słowa reklamami rzucane dla pokrycia brudnego sobkowego interesu i u nas niestety w sprawach publicznych za głęboko się już zakorzeniły, — spoczywa myśl na téj rozkosznéj oazie w pustyni drobniutkich intryg, które jak ziarnka piasku oddech hamują, a ruchliwością swoją nie pozwalają nawet i dobremu ziarnu się rozwinąć. Jeżeli mamy odwagę zdzierać maskę z tego co nas hańbi i zmitręża, — mamy i obowiązek wysuwać wzory do naśladowania. Jeżeli nam bolesno brudami się zajmować, — trudno się nie orzeźwić w czystéj krynicy falach!

Towarzystwo Nauk Ścisłych w Paryżu zawiązał Jan hr. Działyński 30 kwietnia 1870 r. z własnego popędu, w cichości i własnemi funduszami. Wyznamy otwarcie, że gdyśmy przeczytali anons — że to Towarzystwo wydało: Pamiętnika tom I trzy lata temu, z pracami wyłącznie matematycznemi, bardzośmy wątpili o wartości prac tych, bo któż był znany jako matematyk u nas w kraju oprócz genjalnego Żmurki we Lwowie, a Niewęgłowskiego w Paryżu?! Gdyśmy dostali do rąk ów tom I — wyznamy, że samo przeczytanie tytułów treści wydawało nam się — jako fanfaronada. Nie mogąc go kupić, sądziliśmy, że to muszą być kompilacje, a że we Francji z epoką Ludwika Filipa bardzo nizko upadły umiejętności jak i sztuki, a z tymi i matematyczne umiejętności, — aniśmy nie przypuszczali, ażeby w tych artykułach było coś nowego, postępowego, oryginalnego i umiejętnego. Wydanie algebry jakiegoś Sągajły w dwóch tomach późniéj nas zastanowiło. Toć dotąd najobszerniejsza algebra nam znana Gotthelfa Weber'a, niemiecka, zdawała nam się być szczytem doskonałości, bo on poważył się wciągnąć w algebrę „równania wyższe z kilku nieznajomemi“, — co już wkraczało w dziedzinę integrałów. Sągajło zaś już w VIII rozdziale w pierwszym tomie stawia zasady ogólne zrównań dotyczące, a w rodziale XIX już przychodzą „rachunki najmniejszości i największości.“

Mniejsza już o Sągajłę, — ale przybywają nowe nazwiska: Franke, Gosiewski, Trzaska... Konkurs do ocenienia prac Wrońskiego?!... Wrońskiego, którego sam Arago i Ampère, Sturm i Biot nie śmieli oceniać z całym areopagiem Instytutu francuzkiego!!! To już fanfaronada!!...

Nie!... Dochodzi nas tom czwarty — przypadkiem. Z niego wyczytujemy nowe nazwiska: Martynowskiego, Brandta, Klugera, Puchewicza, Kucharzewskiego, Dolińskiego, Maszkowskiego, Wojciechowskiego, i dominującego nad wszystkimi — Folkierskiego z jego imponującym Europie dziełem rachunku różniczkowego!...

Toż to chyba złudzenie!...

Nie złudzenie!... To rzeczywistość.

Takiéj arytmetyki jak Niewęgłowskiego, takiéj algebry jak Sągajły, takiéj mechaniki jak Gosiewskiego, takiego rachunku różniczkowego i całkowego jak Folkierskiego — nie ma w żadnym języku.

Literatura polska matematyczna stanęła już dziś w Europie na pierwszym rzędzie!.... Dziś ani Francja, ani Anglja, ani Włochy, — a cóż dopiero Niemcy, — najniżéj z nich stojący — nam nie sprostają!...

Folkierskiego proszą się o pozwolenie tłomaczenia jego dzieła, wyczerpanego w pierwszym tomie z handlu w przeciągu lat trzech!...

Sam Orgelbrandt we Warszawie sprzedał 100 exemplarzy, — a p. Żupański aż — dwa we Wielkopolsce!...

Pojechaliśmy do Kórnika, — bośmy własnym oczom wierzyć nie chcieli.

Dr. Zygmunt Celichowski podał nam katalog wydawnictwa Bibljoteki kórnickiéj.

Czterdzieści dziewięć dzieł nowych, i to dzieł pomnikowych, pojawiło się w naszéj literaturze staraniem — jednego człowieka, jego własnym nakładem w leciech od 1862 r.; dzieł, które naszą literaturę matematyczną na pierwszym rzędzie w świecie uczonym postawiły!...

I to wszystko działo się bez żadnego krzyku, — bez pochwał „Dziennika Poznańskiego" ani „Kurjera Poznańskiego" ani naszego „Towarzystwa Nieprzyjaciół Nauk", jak je „Kraj" nazywa — i to bardzo słusznie.

Jeżeli się zważy, że zbiorowe siły dokazują cudów, a tu u nas we Wielkopolsce nic — nie zdziałały i nie działają, — i że jeden mąż z téj saméj dzielnicy — tyle dokonał, czego nie zdołało dokonać tyle okrzyczane „Towarzystwo Przyjaciół Nauk", — to zaprawdę dziwić się należy — i zajrzemy — da Bóg — i w te egipskie ciemności.

Teraz jeszcze zwrócimy uwagę czułych o dobro kraju ziomków na inne korzyści, czysto pieniężne, — materjalne, które tak porywają do zachwytu rodaków we Wielkopolsce. Gnani czortem spekulacji na wielkie rozmiary — depcemy najcudniejsze mozolnie przez ojców siane łany pszeniczne, — bo nam się widzi za mało gonić za ziarneczkami.

Dla szału zysku czy pasji — rzuca jeden z najdostojniejszych członków Towarzystwa Nieprzyjaciół Nauk — kilkadziesiąt tysięcy talarów w jaskinię szulerską — gdy mniejszą sumą inny ziomek w przeciągu lat czterech wywołał z nicości grono ludzi nieznanych, których — li tylko w skutek ich prac w towarzystwie — sobie Ameryka rozrywa, płacąc im po kilkanaście tysięcy franków rocznie — za ich użyteczność w Chili i Peru.

Czyż i to nie otworzy nam oczu!

Bodaj wszystkie pioruny biły na naszą głowę — wytrzymamy je!... Niech nas zmiażdżą... ale nie pozwolimy jak Rejtan — brnąć tą zgubną dla nas drogą i — dać się wodzić za nos pochlebcom narodowym — sobkowskich interesów.

Widzimy — że nie brak nam ludzi! Ależ dajcie tym ludziom przebić się przez zgniłą skorupę — którą samolubni ci wielcy ludzie do małych rzeczy — niby pleśń — smrodliwie zmuszają gnić téj wodzie — która wolnym biegiem — ożywić nas może świeżością swą i wonią — jako wodotryski na smutnéj aż nadto naszéj — pustyni!

Wł. hr. Chotomski

O paleniu zmarłych zamiast pogrzebu.

(Ze stanowiska naukowego).

(Ciąg dalszy).

VIII.

Są podawane dwa powody do palenia ciał ludzkich w miejsce pogrzebu, — które, wyznajemy otwarcie, nas oburzają, — a temi są: skąpienie ziemi pod cmętarze a powtóre jakieś spekulacje do korzystania z ciał ludzkich, jak z jakiéj fabrycznéj materji, czyli, innemi słowy, jak to mówią: ażeby te szkodliwe trupy uczynić jak najprędzéj użyteczniejszemi dla ludzi, zwierząt i roślin. Jeżeliby niejeden z nas osobiście zgodził się na jakikolwiekbądź sposób, co do siebie samego, — to najniezawodniéj nie zgodziłby się na takie samo zużytkowanie zwłok osób mu drogich. Jakkolwiek umarłemu zupełnie obojętnem jest, co się z jego szczątkami stanie, — to nie będzie nigdy obojętnem — tym, którzy go przeżyli, a w życiu kochali.

Wystarczyłoby — żeby tylko umarły nie był szkodliwym — żyjącym.

Co zaś do miejsca jakie zwłoki zajmują — to niby we wielkich miastach obszar ten może iść w rachubę, ale nigdyby nie przeważyła jego wartość materjalna — moralnego interesu — i dla tego pomijamy tę kwestję zupełnie.

Ale nie możemy żadną miarą pominąć kwestji szkodliwości dla zdrowia publicznego.

Przeciw dotychczasowemu sposobowi grzebania umarłych stanowczo się oświadczył kongres międzynarodowy lekarski we Florencji w 1869 r.

Akademja lombardzka na posiedzeniu 7 sierpnia 1872 r. wyznaczyła nagrodę 1000 fr. na r. 1877 za odpowiedź na następujące zapytanie:

„Oznaczyć sposób palenia ciał taki, któryby zastąpił dzisiajsze sposoby grzebania, — a to w celu, ażeby wytknąć tor reformom hygjenicznym w téj mierze."

Nalegamy na to, że myśl palenia ciał nie jest bynajmniéj wybrykiem materjalizmu, bezreligijności, wraża chrześcijanizmowi w ogóle, — ale jest sprawą ludzkości. Nie chodzi tu o katolika czy żyda, fetyszystę czy muzułmanina, niemca lub negra, — ale bezwzględnie o każdego — trupa. Ta myśl zacna, podjętą dziś jest naukowo przez takich ludzi, jakimi są profesorowie akademji Padwy, Wenecji, Medjolanu, Pawji — lekarze, chemicy i przyjaciele ludzkości, n. p. Ayr, Amati, Brunetti, Castiglione, Colletti, Tomasi, Gorini, Musati, Pini, Polli, Valeriani; z Francuzów Dr. Jardin, Jansens, Caffe; najsłynniejszy lekarz angielski Dr. Henry Thompson; Niemcy: Richter, J. P. Trusen, Bock i tylu innych.

Myśl ta zresztą stara jak świat do dziś używana po za Europą, — a potajemnie dotąd w pewnych okolicach Włoch, — już urzędownie wprowadzoną była w użycie — przy uroczystości pogrobowéj Henryka Laurens, prezydenta pierwszego kongresu generalnego w Stanach Zjednoczonych Północnéj Ameryki przy końcu zeszłego stulecia.

W r. 1822 spalili lord Bajron (Byron) i Trelawney zwłoki swego przyjaciela poety Schelley, Anglika, i popioły jego pochowano na cmentarzu w Rzymie a serce przesłano do Anglji.

W 1870 roku 1go grudnia spalono uroczyście zwłoki zmarłego we Florencji radży (t. j. xięcia) z Kelapore, według obrzędu kościelnego rytuału indyjskiego. Na stosie z nim palono wonne kadzidła, kamforę i t. p. rzeczy. Obecna i licznie zgromadzona publiczność w około stosu — nie doznawała przykrego wrażenia, żałowano tylko, że samo palenie ciała za długo trwało.

Na widok palenia żywcem heretyków przez świętą inkwizycję zgromadzał się w Madrycie cały dwór królewski jako na miłe nawet widowisko, — a po innych miastach cały świat elegancko-katolicki. Jeżeli palenie współbliźnich żywych za to, że ośmielili się inaczéj myślić niż ogół, — nie przerażało ani dam dworskich, ani w ogóle katolików, — czemużby miało przerażać palenie — nieżywych.

Jak donosi Gazeta Polska z Chicago Nr. 29: „Sto-

warzyszenie angielsko-amerykańskie palenia ciał zmarłych w Nowym Yorku, do którego i znaczna liczba niewiast należy, stara się o pozyskanie praw korporacyjnych i pochlebiają sobie, że rząd nie będzie miał nic przeciwko temu. Szczególnie czynnym członkiem tego towarzystwa jest pastor Frokingham."

W Hamburgu w zeszłym roku utworzyło się podobne stowarzyszenie i jakiś bogaty kupiec ogłosił nagrodę w „Bremer Handelsblatt" za najpraktyczniejsze rozwiązanie téj kwestji.

Inne takie stowarzyszenia zawiązały się w Berlinie, Dreznie, Lipsku, Wrocławiu i wielu innych miejscach, — a we Włoszech spodziewają się rządowego prawnego sankcjonowania tego sposobu uprzątania zwłok zmarłych.

W Belgii znalazła ta myśl bardzo głośne echo i „Gazette de Bruxelles" (30 marca 1873) wyraźnie woła: „Palcie wasze zwłoki — nie zagrzebujcie ich więcéj. Korzyści jakie ztąd dla ludzkości wypłyną, nie dadzą się obliczyć, ale muszą być bardzo znaczne." Dziennik ten oblicza, że w Belgii z pod samych cmętarzów 7,500 hektarów roli — wartosci 38 do 40 miljonów franków pod pług lub łopatę przybędzie.

Damy nawet odzywają się przeciw pogrzebom. Jedna z nich pisze do profesora Dr. Polli'ego:

„Pojmuje doniosłość palenia ciał tak dalece, że gdyby tego było potrzeba, radabym była pierwszą, którąby poleciła, ażeby me ciało spalono, a nawet i wtedy, gdybym wiedziała, że to nie stanie się powszechnym zwyczajem. Samo życzenie, ażebyśmy swemi zwłokami nie truli tych, których się za życia kochało, zdaje mi się być bardzo prostém. Umiejętność radzi nam popełnić czyn wspaniałomyślny względem tych, co nas przeżyją, czyn mający stronę bardzo poezyjną."

Inna dama znów mu pisze:

„Cieszę się myślą, że zwłoki moje spalą, że przez szybki swój rozkład nie przyczynią się do zatruwania ziemi, wody i powietrza tym, których kocham."

Profesorowi temu nadesłano listy z ofiarami po 10,000, 5000, 2000 i 1000 franków, — celem popierania go w jego usiłowaniach, ażeby wynaleść najpraktyczniejszy sposób palenia.

Nie potrzebujemy dodawać, że prasa niemiecka coraz to silniéj tę dążność zreformowania pogrzebów popiera, — a ciekawych o źródła — odsyłamy do broszurki: „Die Leichenverbrennung als rationanellste bestattungsart" von Wegmann-Ercolani. Zürich. Caesar Schmidt. 1874. 8o. 56 str. Z niéj czerpaliśmy tu wiele konów (faktów) i myśli, choć to pisemko bynajmniéj nie wyczerpuje kwestji.

Ale i polska prasa nie zdaje się być bardzo przeciwną temu, — bo wyjąwszy „Gazety Narodowéj" — „Opiekuna Lwowskiego", — to „Kurjer Poznański", „Dziennik Polski" i t. d. wzmiankowały o tym ruchu bez oburzania się przynajmniéj, a „Kraj", „Wieść", „Ognisko", my i inne nawet go popierają.

Teraz przejdźmy do sposobów po dziś dzień znanych, — a które częściowo przynajmniéj mogą zmniejszyć niedogodności dzisiajszego chowania umarłych, bo w następnym i ostatnim rozdziale wykażemy, — że go całkowicie nie zniosą, — ani tak łatwo, ani tak prędko, jakby to się na pozór wydawać mogło, — i jak to Wegmann-Ercolani różowo przedstawia.

(Dokończenie nastąpi).

W rozwalinach klasztoru.

(Z Szyby szklannéj Anastazego Grün.)

Przed ołtarzem.

Tysiące gromnic na ołtarzu płonie.
Cudną monstrancję ujął kapłan w dłonie.
Wije się po niéj misternéj roboty
W grona i kłosy wieniec szczerozłoty.

Wznoszą monstrancję ramiona kapłana.
Ludu tłum upadł kornie na kolana,
Szemrze modlitwy i w piersi się bije
A obłok srebrny kadzideł cudną wonią
Po wieńcu kłosów i gron w lot się wije
I biją dzwony i dzwoneczki dzwonią.

Takiego hołdu nie odniosły pono
Żaden kłos zboża, żadne winogrono.
Lecz kłosy w duchu myślą: „co nam potém?
Braci kołysze wolny wiatr polowy.
Szczęśliwsi oni co przed słońcem złotem
Błogosławione sami chylą głowy."

I cicho myślą sobie winogrona:
„Wolałybyśmy piąć się jak siostrzyce,
Same pod ciężkim plonem zginać łona,
Złocić się w słońcu, — w rosie kąpać lice."

Refektarz.

Potężne stoły nadstawiają grzbietu,
A gości mało stawa do bankietu!...
Co tu wesołych stawało szermierzów...
Jak śmierć zmniejszyła szyki tych rycerzów...

Po szafach błyszczą złociste puhary
Jak w arsenale zgasłych wodzów zbroje.
A wszystkie próżne. W nich swoje sztandary
Snują pył z pleśnią i pająków roje.

W sklepionych grobach leżą mnichów chmary,
Zaschły im wargi — gardła robak toczy,
Zda się że w groby zerkają puhary,
Ku szafom wzajem łypią czaszek oczy.

Chętnie bawiłbym w grobach godzinami,
Tych godowników sen pewno uroczy;
Lecz nie chcę zostać sam na sam z czarami
W północ, gdy xiężyc światłem je otoczy.

Widziałbym z czar tych — niby z trumien łona
Jak duchów wesel ciżba zasmucona,
Smutna wychodzi w orszaku parami
Z pochylonemi kiru chorągwiami.

Wł. hr. Ch.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

— Litości, Adolfku, litości! pani Węgielewska załamała dłonie.

— Litości!... poszepnął. — Nie było litości... nademną... i nad młodością moją!.. Wybacz, matko!...

— Cesiu! Przemów ty do niego! wyciągnęła matka ku niéj ręce.

Cecylja zdrętwiała tém wszystkiém co słyszała, powstała jakby machinalnie i objęła brata za szyję.

— Uspokój się! wymówiła głosem łzawym — spoczniéj! Oprzyj głowę na ramieniu mojém!

— Jeszczem... nie skończył!

— Zaszkodzisz sobie! dodała błagalnie.

— Nic mi... już nie zaszkodzi!... Ale, co tam! — machnął wychudzoną ręką. — Panowie opiekunowie... spojrzyjcie na mnie!... Powiedziałem dużo... resztę sobie... dopowiedzcie sami!... We własném sumieniu!... Żegnam was! — przymknął powieki i zwiesił głowę. Pierś jego unosiła się, jak gdyby mu oddechu nie stało — usta drgały — lica trupie, sinawe powlekły cienie.

Pan Mateusz chmurny, pobladły, powstał zcicha i pochylony ku Stefanowi, poszepnął:

— Ma gorączkę... niby malignę...

Pan Andrzéj pokiwał głową. Źrenica jego zwilgotniała. Przygryzł usta i podniósł się także.

Zwolna i ostrożnie obadwaj wyszli z pokoju. Za drzwiami spotkali pana Idziego.

— Ma gorączkę, majaczy — powtórzył pan Andrzéj — a usta jego z silnego drżały wzruszenia.

— To tylko pewnie przejściowe: kryzys — odrzekł Węgielewski.

— Dobrzeby było, gdyby usnął — wymówił pan Mateusz zamykając tabakierkę.

— Gorączkuje. Chory biedaczysko bardzo! — dodał pan Andrzéj znowu i głową pokręcił.

Pan Mateusz oczy przetarł.

W salonie czekała ich omszona butelka i jakaś wykwintna zakąska. Podziękowali za wszystko.

— Kieliszeczek! prosił gospodarz.

— Ani kropelki! niepodobna!

— Na frasunek dobry trunek!

— Nie mogę, nie mogę!

— Panie Mateuszu! Węgielewski stanął przed nim z kieliszkiem w ręku.

— Nie zdołałbym połknąć... żal skrępował...

Podjęli kapelusze.

— Ale przez Boga, nie odjeżdżajcież!

— Musimy!... musimy! odrzekł pan Andrzéj.

— Czekają tam na mnie — tłomaczył się pan Mateusz.

— Zajrzymy tu jutro znowu.

— Bóg da, to może i lepiéj będzie.

— Sprowadzę jutro consilium — wymówił Węgielewski — pięciu lekarzy.

— Sprowadź! Sprowadź! Będziemy tu jutro.

— Będziemy! Będziemy!

Pożegnali się goście.

Wsiadłszy do powozu, pan Mateusz załamał ręce. Pan Andrzéj chustką oczy zasłonił.

— Okropnie! wymówił pierwszy.

— Straszliwości! dodał drugi.

— Któżby się tego był spodziewał?

— Ha!... — w tym Ha! odbrzmiało, że można się było tego spodziewać.

— Oj, ten Paryż!

— Ten Paryż, ten Paryż!

— Potrzeba go tu było ściągnąć!

— Ha!... Źle się stało!

— Źle bardzo!... Jam tego nie przypuszczał!

— Nigdy, przenigdy!... Zawiniliśmy... — pan Andrzéj poszepnął zcicha i chustkę znowu do oczów przycisnął.

— Potrzeba było zaradzić! pan Mateusz westchnął ciężko.

— Ha!... Po niewczasie! Oj ten Idzi!

— Ten Idzi, ten Idzi!

— I matka winna!

— Głupia... Lafirynda.

— A on... łotr cały!

— Nieszczęście!

— Stało się!

— Zakupię jutro mszą św.

— Przybędę z żoną i dziećmi.... Każę pójść i ludziom.

— Może Bóg pocieszy!

— Ha!

— Jezus Marja Józef!

— Ruszaj Michale! Pośpieszaj!

— Pośpieszaj! Pośpieszaj!

Pilno im było, jak gdyby ich mary ścigały. A byli to przecie ludzie zacni i poczciwi!

* * *

Podobno, że opiekunowie nie ujechali jeszcze pół mili, gdy Stefan wybiegł z pokoju chorego.

— Księdza! Księdza! wołał — Adolf kona!

Służący po miejscowego pobiegł kapłana.

Biednego Adolfa wycieńczyło ostatecznie uniesienie z jakiém mówił — ból trawiący — gorycz gryząca — i silne wzruszenie. Głowa jego obwisła na ramieniu siostry. Twarz stała się trupią... z ust posiniałych raz po raz cichy jęk wychodził.

— Cesiu... moja Cesiu! poszepnął.

— Braciszku jedyny! pochyliła twarz ku niemu.

— W nic... nie wierzyłem... bo mnie... bo mnie wierzyć.. nie nauczono!... Ale jest Bóg!... Siostro!... Bóg jest!...

— Jest Bóg wielki! Wszechmocny! Wszechmiłosierny! odrzekła, połykając łzy żałości.

— W nic... nie wierzyłem!... Okropnie!... A dusza... jest nieśmiertelną!

— Tak nas poucza cały świat Boży! I własna dusza, w którą Bóg miłości tchnął tę wiarę!

— Wierzę... w nieśmiertelność... chcę wierzyć... — dodał ciszéj. — W nic... wiary nie miałem... w nic!... Zmarnowałem życie... i tak młody... umierać muszę!... Jest jeszcze... inne życie, siostro!... Jest inne życie!

— Jest życie po za grobem.... życie szczęścia i zbawienia! po bladem licu Cecylji łzy gęste spływały.

— Umierać... tak młodo!... Och strasznо! — zadrżał, jakby lodem grobu objęty. — Siostro!... Ale Bóg jest!.. Być musi!... Bóg jest!... Pomódl się.. ze mną!

Cecylja zdjęła krzyżyk złoty z szyji, przyłożyła go do ust konającego i pół-głośno, uroczyście zmówiła Ojcze nasz. Adolf sine poruszał usta. Potém głębokie z nich wybiegło westchnienie — a głowa jego na ramieniu siostry zaciężyła więcéj.

Wrócił Stefan i objął konającego. Cecylja na kolana upadła — załamała dłonie — a cała jéj dusza gorącą była modlitwą.

Panią Węgielewską mdlejącą wyprowadzono. Z po za portjery pan Idzi znowu raz po raz zajrzał: czyliż nie śmiał proga przestąpić? czyliż nie śmiał téj strasznéj a przedwczesnéj śmierci zajrzeć w oczy? — Ze Żdzisiem na rozkaz jego, guwerner poszedł na przechadzkę do lasu.

Przybył kapłan.

W godzinę późniéj dzwon żałobny śmierć młodego ogłosił dziedzica.

Pan Węgielewski i zaraz w skutek téj śmierci tysiączne miał zajęcia.

Pani Węgielewska leżała na kanapie, wydając raz po raz jęk żałosny.

Żdziś wrócił z przechadzki — a słysząc od służby co zaszło, zapłakał: uczuł, że było zapłakać potrzeba — nad tą śmiercią przedwczesną — wśród uroków rozkwitłéj wiosny.

* * *

Nazajutrz przybył Soliński. Udał się nasamprzód do kaplicy kirem obsłoniętéj — licznem gorejącéj światłem. Stanął przy bogatéj metalowéj trumnie — i z wielkiéj boleści wyrazem popatrzał na młode oblicze — niby wyrzeźbione z marmuru...

— Syn Tytusa!.. — poszepnął, wsparty o katafalk — i łez kilka żałobnych po jego zoraném spłynęło licu.

Zwolna, bez szelestu, w długiéj sukni żałobnéj, przymknęła Cecylja, blada, pochylona boleścią — i w obec trumny brata, kolana zacnego przyjaciela objęła.

— Pożegnał, porzucił nas! — wymówiła poszeptem stłumionym. — Mnie ocaliłeś!... Ja słów nie mam... Bóg wielki nagrodzi!

Podjął ją i płaczącą do piersi przycisnął.

— Czemuż rychléj nie przybyłeś — dodała — byłbyś może i tego uratował biedaka!

— Wyroki Opatrzności są niezbadane! odrzekł Soliński — Bóg znać tak chciał.

Cecylja z gwałtownym załkała żalem. Stefan uprowadził ją z kaplicy.

* * *

Pogrzeb odbył się, jak tylko można było najwystawniéj. Mowy były arcy-piękne, wynoszące miłość macierzyńską pani Węgielewskiéj — zacne i troskliwe zabiegi szanownego ojczyma i szlachetnych panów opiekunów. — Mowy te wyszły nawet nakładem pana Węgielewskiego w jednéj z pierwszych drukarni — w ozdobném wydaniu.

W czasie żałobnego nabożeństwa opiekunowie siedzieli bledzi, z pochylonemi głowami — widocznie żalem pognębieni. Pan Idzi raz po raz batystem ocierał oczy.

Pani Węgielewska była chorobą złożona.

Po dziennikach pięknie napisane zamieszczono nekrologi. — Odgadł to był wszystko naprzód dokładnie bardzo pan Wincenty Nawraciński — bo znał świat i ludzi.

Paulinie z L. Wilkońskiéj.

Nie do pieśni wesela strojić nasze lutnie,
Nie nam kwiatami zdobić uznojone czoła,
Bo u nas piołunami zaplenione sioła,
I tylko kwiat cmętarny schyla skronie smutnie.

A jeźli dźwięk usłyszysz — to kajdanne brzmienie,
Albo syczą tryumfu krzyki obcéj mowy,
I bije tylko w niebo drżący hymn grobowy
Skarżąc się Bogu głucho na braci cierpienie.

Tylko ten co swą myślą nie zasięgnął wyżéj,
Kto sercem samolubném tak przyrosł do ziemi,
Że dzielić się nie umie bólami bratniemi —
Ust swych do gorżkiéj czary cierpień nie przybliży.

Ten blask zwodniczy świata obejmie swém sercem
I skroń ozdobi w mdławe a znikome kwiaty,
I wdzieje na ramiona purpurowe szaty,
Darząc żałobne kiry spojrzeniem szyderczem!

Przecież znikomy wieniec zbyt wcześnie zwiędnieje,
I czas wykrada zwolna purpury kłamane,
I wkrótce po nad grobem stanie skołatane
Serce straciwszy perłę najdroższą: — nadzieję!

Nam cicho nad mogiłą stanąć ukochaną,
I skronie przyozdobić koroną cierniową,
I opłakując w skrusze niewolę wiekową,
Wznieść z ufnością ku niebu oczy zapłakane.

Trzeba nam zdobić kurhan w nieśmiertelne wieńce,
Coby woniącym kwiatem zajaśniały cudu,
Trzeba nam opromienić życie walk i trudu
Gwiazdami poświęcenia, które ulżą męce!

Trzeba nam znaczyć miejsce szlachetnemi czyny,
Dźwigając krzyż męczeństwa z podniesioną skronią,
Trzeba wytępiać chwasty uznojoną dłonią,
Dopóki w wianku cierni nie błysną — wawrzyny.

Wtedy na skronie mężnych spłyną wieńce sławy,
I wzniesie im potomność szczytne piedestale,
I opromienią światłem swe ojczyste niwy —
A imiona jich błysną w nieśmiertelnéj chwale.

Takim blaskiem zaświecą Polko twe zasługi,
Kapłanko przenajświętszéj po ojcach spuścizny,
Kiedyś na wonnych łanach swobodnéj ojczyzny
Wytrysną z Twoich myśli jasne czynów strugi.

Poznań, 5 lutego 1872.

Uriela.

Kilka szczegółów z życia codziennego Joachima Lelewela.

(Ciąg dalszy.)

Nowożytny ten nasz polski Djogenes na podwieczorek około 3ciéj zjadał drugą połowę bułeczki pozostałéj ze śniadania — znowu z kawą tak samo jak na śniadanie przyrządzaną, do któréj, — zapomniałem to dodać, — z małego słojika jak od pomady wpuszczał nieco na łyżeczkę biało-żółtawéj jak zrazu sądziłem — pomady. Uśmiał się serdecznie gdym go zapytał: czy to maść? — czy to pomada? wskazując na ów sło-

jiczek. Dopiero gdy się uspokoił po swoim kichliwym śmiechu i kręceniu się po pokoju — wytłómaczył mi, że to zgęszczona była śmietanka.

Przez całe pół roku bywałem u niego niemal codziennie, — ale nigdy wieczorem. — Wtedy Sawaszkiewicz do niego sam często chodził i pracowali razem. Piszącego Lelewela nie widziałem, — ale ciągle rytującego na miedzi. Charakter pisma miał bardzo ścisły, czytelny, drobny a nawet kaligrafijnie — dobry; pochylony ku prawéj stronie, zajmujący ile tylko można miejsca pismem, jak zwykle ludzie oszczędni albo skąpi, — u których biały papier ma cenę, — i dla tego chcą go w zupełności zużyć.

Dla własnéj wygody, przy końcu mego pobytu w Bruxeli, sprowadziłem się na tęż samą ulicę — naprzeciw mieszkania Lelewela — do bardzo porządnego i taniego hotelu — pod Dębem. Często wychodziłem od niego gdy się wybierał — do galopu — albo na kolację — albo na obiad. Kolacja ta różniła się od obiadu tém tylko, że nie było zupy.

We wilję mego wyjazdu z Bruxeli, — po mojém pożegnaniu się z Lelewelem, na pożegnalną kolację zaprosiłem do hotelu marszałka Ezechjela Staniewicza, Lwa Sawaszkiewicza i Dubieckiego, z którymi żyłem ściśle i serdecznie. Jedliśmy byfsztyk z perkami i sałatą — przy kuflu piwa. Do nas przyłączył się kapitan Drzewiecki, znakomity szachista bruxelski, ale że był już po kolacji, siedział tylko przy nas. Wtém powstał jakiś ogólny szelest w sali zastawionéj kilkunastu stolikami, które otaczali różni goście. Marszałek Staniewicz z cicha zawołał: „Lelewel“ — i powstaliśmy z miejsc — jak wszyscy inni. Ze Sawaszkiewiczem udaliśmy się ku niemu i niebawem zasiadł pomiędzy nami jako szósty. Przywitał się z marszałkiem, Drzewieckim i Dubieckim podaniem ręki i serdecznie, — a gdym go pytał czy pozwoli zjeść z nami — porcję byfsztyku — zezwolił na to. Przyniesiono jeść natychmiast. Zjadł na moje zdziwienie wszystko — całą porcję — czyli co do wartości pożywnéj i ilości — jego dwa zwykłe obiady — i wypił kufel piwa. Był bardzo wesołym i opowiadającym. Zazdrościł mi, że jadę do Warszawy — do Polski. Dał mi polecenie wyszukania jego rękopismów pozostałych we Warszawie, — o którém się wywiadywał późniéj nadaremnie. Bardzo do nich wiele ceny przywiązywał — i żalił się gorzko nad ich utratą. Nareszcie powstał, — rzekł że przyszedł mnie pożegnać — i, wyjąwszy z pod swojéj niebieskiéj perkalowéj bluzy, wręczył mi pakiet rękopismów i płyty Bolesława Śmiałego nagrobek w Ossjaku i drzwi katedry Gnieźnieńskiéj z poleceniem wyraźném, ażebym tego nikomu nie poruczał, ale sam osobiście oddał naszemu zacnemu mecenasowi literatury i historji polskiéj w Poznaniu — Janowi Konstantemu Żupańskiemu — a „nikomu innymu... bo widzisz, rzekł, on jedynym będzie wydawcą tego co jeszcze napiszę... Ten poczciwiec, widzisz-bo moje dziecko, — on jeden z wszystkich mojich wydawców — potrafił mi dogodzić... Żaden tak wiernie nie pilnuje mojéj pisowni, — mojich: jjji tak, tak!.. a to rzecz bardzo ważna!... Pamiętaj o tém i bywaj zdrów! — Odwiedzę cię w Warszawie!...“ I uściskał mnie — osadzając mnie na krześle — nie życząc sobie ażebyśmy go odprowadzili.

Znowu popowstawali z miejsc wszyscy nieomal goście i wyszedł spiesznie — jak przyszedł.

Po jego odejściu nie mogli się nadziwić moji rodacy, że Lelewel przyjął odemnie kolację!... Zazdroszczono mi prawie. „Widocznieś oczarował starego“ — rzekł mi marszałek. „Toć to najwyższy fawor, jakiego tylko po nim się mógł kto spodziewać!.. Wierzysz, że on odemnie nawet nigdy szklanki piwa nie chciał przyjąć.“ A marszałek był bardzo u niego w łaskach — dla swego wesołego humoru, — i Lelewel cenił go wysoko jako męża „wzorowego poświęcenia.“ „To tęgi Żmudzin! tęgi Żmudzin!“ powtarzał, gdy marszałek wyszedł z jego pokoju, po rzadkich zresztą za mojego pobytu, bo dwu czy trzykrotnych tylko, u niego odwiedzinach.

Cześć, jaka otaczała Lelewela w Bruxeli, była, jakeśmy rzekli, niepospolita. Począwszy od samego króla Leopolda I, który z Polaków tylko Lelewela i Wincentego hr. Tyszkiewicza, wówczas wdowca, a późniejszego męża hr. Grabowskiéj z Grylewa, za mego pobytu osobiście odwiedził, — bo hr. Gurowskiemu (żyjącemu więcéj z końmi i psami niż z ludźmi), jako mężowi Infantki hiszpańskiéj, tylko bilety wizytowe posyłał, — zacząwszy od króla do znakomitości, jakąkolwiek mających styczność ze światem uczonym, — wszyscy w tém pomieszkaniu odwiedzali Lelewela, czy to osiedli — czy przyjezdni. Naturalnie, że na damskich wizytach mu nie zbywało, a lubo się na te odwiedziny pozorowo bardzo oburzał, i one go rzeczywiście mocno kłopotały, — to najchętniéj o nich opowiadał. Tryjumfował — że jakaś belgijska obywatelka klękała przed nim, błagając go, ażeby się z nią ożenił. Chichocząc — opowiadał z promieniejącém się radością obliczem i kręcąc się po pokoju, — a zacierając ręcę — przyczém zwykle chował swą głowę między podniesione ramiona, — jak mu to wielkie damy starały się przypodobać, — ale zwykle dodawał: „głupie baby — głupie baby!“ Jak chętnie wracał do tych opowiadań, — tak niechętnie je urywał. Za méj bytności — najwięcéj, i to szczerze, gniewał się na hr. Moszczeńską z Ottorowa. Wówczas generał Kruszewski był generałem kawalerji i miał swój sztab w Malines. Do niego jako do zięcia przybyła hr. Moszczeńska. Ztamtąd kilka razy była w Bruxeli i u Lelewela. Widząc go w takiéj pozorowéj, rzekłbym, biedzie, usiłowała mu jakoś doli jego ulżyć. Sawaszkiewicz ją zaprowadził do szynku (gargotte) w którym Lelewel jadał, — i tam kazała sobie pokazać strawy dla niego przeznaczone. Nie mogła się uspokojić nad tą lichotą, i lubo ją Sawaszkiewicz przestrzegał, żeby tego nie czyniła, bo urazi sobie Lelewela, — wymogła na gospodyni, że ta miała mu dawać i więcéj i lepiéj jeść, a mianowicie dodać leguminkę z konfiturami, szczególniéj jajecznicę, którą Lelewel bardzo lubił. Nadwyżkę tę obiadowéj ceny miał téj kobiecie wypłacać generał Kruszewski. Kobiecina ta zaręczała, że ona sama chętnieby i dziesięć porcji dawała Lelewelowi — i dwa razy dziennie ową jajecznicę, ale że onby się rozgniewał i nie chodził do niéj jadać więcéj. Ale hrabina nalegała koniecznie i ułożyli spisek ze Sawaszkiewiczem, — jakby to niepostrzeżenie — wykonać. Dość, że ułożono i hrabina dała kilka lujdorów owéj kobiecinie jako zadatek. Lelewel nic nie domyślając się — raz zjadł ów lepszy obiad i kolację, ale wyłajał gospodynię, że zbytki czyni. Ta mu się jakoś wytłómaczyła. Na drugi dzień wyrzuty Lelewela były twardsze, ale — udało się. Na trzeci dzień Lelewel nic nie mówił gospodyni i spożył co mu dano, — ale bardzo się kwasił i strojił grymasy twarzą i mruczał machając rękami. Na czwarty dzień rano użalał się mocno Sawaszkiewiczowi — że już więcéj tam jadać nie może, nie będzie: bo mu się gospodyni popsuła. „Jakto, zapytał go Sawaszkiewicz, czy gorzéj jeść daje?“ „Ej, u djabła, — odparł opryskliwie Lelewel — gdyby to gorzéj, tobym już nic nie mówił, boćby to było naturalném! Za te pieniądze już mi za dobrze jeść daje, — ale widocznie to babsko mnie zdradza! Przez trzy dni daje mi omlety i większe porcje i jakoś smaczniéj!... To widoczna zdrada! Mnie się wszystko widzi, że się dała przekupić przez tę babę Moszczeńską... a to mi baba!!... Nie! już dosyć tego! Ja tam jeść nie pójdę!“ Sawaszkiewicz pobiegł do gospodyni i opowiedział jéj to. Ta zakłopotana wpadła natychmiast do Lelewela, rzuciła mu się do nóg — i wyznała wszystko. Nadszedł i Sawaszkiewicz i zaledwo z jego pomocą ukojili Lelewela,

pod warunkiem, że gospodyni weźmie od niego za omlety dopłatę, że zwróci natychmiast hr. Moszczeńskiéj jéj złoto, i że nigdy już nie przyjmie od nikogo żadnych dopłat, — a jemu, Lelewelowi, może dawać gorzéj jeść, ale nigdy lepiéj. I po długiém kazaniu i gospodyni i Sawaszkiewiczowi za ich zdradę, za spisek, „przebaczył“ im „po raz ostatni“ — i w swym czasie — pogalopował na zwykły swój obiad. Długo potém nie mógł Lelewel zapomnieć hrabinie Moszczeńskiéj jéj „przekupstwa“ i odgrażał się „téj paskudnéj babie“, że ją ze schodów zepchnie, jeżeli się poważy raz tu jeszcze pokazać.“ „Te głupie baby! głupie baby!“ dodawał, ile razy i mnie o tém zajściu rozjątrzony opowiadał, — a na tém kończył zwykle swe, według jego słów, „romanse“ z kobietami. I było jakieś dziewczę młode i piękne, które „ubóztwiało“ Lelewela z równym skutkiem jak go lubiła panna Korzeniowska, dziś jeszcze żyjąca na Wołyniu. — Była to jakaś bruxelanka, miejskiego stanu i nie bogata, mogąca być wnuczką naszego historyka. „Sam powiedz dziecko, nie głupież baby! głupie baby!“ pytał mnie, opowiadając to i świadcząc się Sawaszkiewiczem, ażebym o tém nie wątpił czasem, i targał mnie za rękaw. „Chi, chi, chi!“

Z wielu podobnych zdarzeń — rad opowiadał jeszcze o jedném, które kilkokrotnie i zawsze prawie temi samemi słowy powtarzał. Drukował wówczas w Bruxeli swe wiekopomne dzieło: „Les coins du moyen âge.“ Sam czynił korektę i odnosił ją zwykle do drukarni, — ale wówczas spóźnił się i odniósł korektę do prywatnego mieszkania drukarni właściciela. Jak wiadomém, domy w Bruxeli są często urządzone na sposób holenderski i angielski, t. j. że każdy dom mieszkanie stanowi jedno dla jednéj rodziny — i bywa zamykany drzwiami, które dopiero za zapukaniem antabą ruchomą, u drzwi umocowaną, albo za pociągnieniem dzwonka, z wewnątrz służąca otwiera. Lelewel zadzwonił. Kucharka nie znająca go, ujrzawszy w bluzie jakiegoś starego, w zbrukanéj ogromnéj czapce z ogromnym rydelkiem, z papierami w ręku, — sądziła, że to jaki żebrak i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Lelewel zadzwonił powtórnie. Kucharka sądząc, że mniemany żebrak był natrętem, — wyrżnęła mu kuchenną kapitułę, tém ostrzejszą, — że w Belgji żebranina jest zakazaną i w pogardzie podobnéj, jak u nas może złodziejstwo. I znowu zatrzasnęła drzwi. Lelewel dzwonił raz trzeci i czychał na chwilę, gdy kucharka drzwi odmykać pocznie, — a skoro rygiel puścił — pchnął je z całéj siły i wdarł się wewnątrz, choć go kucharka całą siłą chciała wypchnąć. Wtedy dopiero zawołał: „jestem Lelewel.“ Na to nazwisko, kucharka padła mu plackiem do nóg, zaczęła go błagać o przebaczenie, i rozpoczęła się inna walka, t. j. Lelewel bronił się od całusów rąk i nóg, jakiemi, na klęczkach ścigająca go kucharka, przeprosić chciała. Z tego ataku wybawił go sam właściciel drukarni, nadbiegły z rodziną całą na hałas: na tę scenę. „Głupie baby! Głupie baby!“ kończył i to opowiadanie.

W ogóle Lelewel nie lubił kobiet — nigdy się nie kochał w żadnéj, ale dziwnym odskokiem uczuć niezmiernie się cieszył z tego — że go kobiety kochały. Odwiedzinom dam był dwukrotnie bardzo rad, gdy przestąpiły już jego próg, a drugi raz jeszcze więcéj, gdy odeszły, bo go zawsze kobieca przytomność mocno żenowała i z siodła wyrzucała. Przy kobietach bywał nienaturalnym.

Powód złości Lelewela na mego ojca był następujący: Ojciec mój był zażyłym przyjacielem w domu rodziców Lelewela, a mianowicie jego brata pułkownika Jana, bardzo wykształconego oficera inżynierji. Tenże umarł w Szwajcarji — w służbie rządowéj i pracował z generałem Dufour nad sztabową mapą Szwajcarji. Ojciec mój żył i z Joachimem bardzo serdecznie aż do chwili, gdy do Warszawy przybyła panna Korzeniowska, wówczas słynna uczonością, autorka atlasu historyjnego polskiego, urodziwa i bardzo majętna. Rodzice Joachima gorąco życzyli sobie, ażeby z nią się ożenił, zwłaszcza, że i dama ta sprzyjała bardzo Lelewelowi. Ale im jawniejsze były zabiegi rodziców i brata — tém Joachim stawał się dzikszym. Do tego stopnia, że zamykał się w swym pokoju i fukał na przeszkadzających mu — w pracy. Namówiono nareszcie i ojca mego, ażeby i on na Joachima, jako na przyjaznego mu, wpłynął. Od chwili gdy ojciec mój namową do tego kroku chciał go skłonić, od téj chwili stał mu się Joachim — wrogiem. Lelewel chcąc uniknąć tych wpływów, usilnie począł się starać o katedrę we Wilnie i uzyskał ją. Wyjechał do Wilna z pośpiechem, w tym płaszczu, który mu zapewne do śmierci za szlafrok służył. W 1831 r., gdy Lelewel został ministrem oświecenia, mój ojciec był pierwszym, któremu dał dymisję — jako kuratorowi uniwersytetu warszawskiego. To ojca mocno zgryzło — i wstąpił napowrót do czynnéj armji, choć nie miał zamiaru porzucić „ważniejszéj służby nad wojskową“ i pragnął gorąco ukończyć dopiero co w dwóch zeszytach wyszłą ornithologję, do któréj z prof. Jarockim długo i pilnie pracując, miał wiele przygotowanego materjału i wiele na kamieniach własnoręcznie z natury rysowanych ptaków. Ojciec mój nie mógł przebaczyć Lelewelowi téj „hańby“ jaką mu Lelewel wyrządził, — i do dziś dnia gorżko ją sobie wspomina. Z Janem Lelewelem zatrzymał ojciec mój aż do jego śmierci serdeczne stósunki, a że i Jan malował akwarele udatne, przeto często przesyłali sobie wzajemnie swe prace, i w ojca mego zbiorze było kilkanaście znacznych rozmiarów widoków Szwajcarji, malowanych przez Jana Lelewela, — a które zaginęły w 1870 r. w Turynie, gdy ojciec mój po śmierci swéj drugiéj żony zapadł na rozmiękczenie mózgu. Jako nieudolnemu rozkradziono wszystko co miał — a może i porozdawał bezprzytomnie.

(Dokończenie nastąpi).

Prośba o poszukiwanie rękopismu xiążeczki, na któréj się modliła święta Jadwiga.

W numerze 10 niniejszego pisma (str. 79) upraszaliśmy w imieniu Bibljoteki Kórnickiéj — o wiadomość o rękopiśmie: „xiążeczki do nabożeństwa, na któréj się modliła święta Jadwiga“, albowiem podobiznę tego pomnika dawnéj naszéj mowy zamierza wydać Jan hr. Działyński. W kilka dni po tém ogłoszeniu doszła nas ze strony p. Stanisława Mottego wiadomość, że tę xiążeczkę wyda za dni kilka z podobizną. To wydanie atoli, dotąd nie uskutecznione, będzie tylko drugiém wydaniem, z trzema homografijnemi stronnicami téj xiążeczki, jaką wydał ze swego odpisu profesor Jan Motty. Ale oryginału, z którego czytał wydawca, — dotąd nie można odszukać. Ponieważ był on w srebrnéj, ozdobnéj puszce, jest nadzieja — że go uszanowano i nie obchodzono się z nim lekkomyślnie.

Wiadomém, jak trudno jest czytać dawne rękopisma. Paleografja tego uczy — i dziś jest wydoskonaloną osobną nauką. Kto ręczy, że text jakiegobądź

oryginału jest tak przeczytany — jak był napisanym? Podobizny te, oddając wiernie rękopism jakim jest, mają zupełnie inną wartość, niż oddrukowanie krotłami.

Ponawiamy tedy naszą prośbę w imieniu Bibljoteki Kórnickiéj do wszystkich dbałych o nasze skarby narodowe, ażeby skoro tylko ślad jaki tego cennego rękopismu odnajdą, ażeby się raczyli wprost zgłosić albo do Jana hr. Działyńskiego, — lub do bibljotekarza Dr. Zygmunta Celichowskiego w Kórniku pod Poznaniem, — albo do Redakcji niniejszego pisma.

* * *

Takich okazów zabytków dawnéj mowy polskiéj w podobiznach wydał Jan hr. Działyński, jako dalszy ciąg do publikacji znanéj nieodżałowanego ś. p. hr. Tytusa, ojca swego:

1) Prawa polskie wykładane przez „Mystrza y doctora Swanthosława Swoczyeshyna" (Świętosława z Ocieszyna), oraz „Xanschanth Mazoweskych przez Maczieya z Rozana" wedle kodexu pisanego przez „Mykolaya Suleda." Przedruk homografijny wykonany przez A. Pilińskiego z rękopismu puławskiego pergaminowego z lat 1449 i 1450.

2) Statut wiślicki w polskim przekładzie w przedruku homografijnym wykonanym przez A. Pilińskiego z kodexu kórnickiego z r. 1490.

W biegu wykonania zaś jest:

3) Psałterz królowéj Jadwigi. A. Piliński dokonuje homografijnie z kodexu porycko-puławskiego; ma być skończony z końcem b. r.

Prócz powyższych zrobił Piliński facsimile odpowiedzi ławy magdeburskiéj na zapytania ławy krakowskiéj, — facsimile zrobione z manuskryptu kórnickiego a przeznaczone do dzieła Dr. M. Bobrzyńskiego, docenta prawa polskiego w uniwersytecie Jagiellońskim.

Również nakładem p. Działyńskiego robi Piliński homograficzny przedruk bardzo rzadkiego dzieła hetmana Tarnowskiego: „O sztuce wojennéj" — z pergaminowego egzemplarza ks. Władysława Czartoryskiego.

* * *

Oprócz powyższych prac już gotowa Sągajły Algebra tom II jest w handlu.

Tegoż Geometrja analityczna w trzech tomach jest już napisana w języku francuzkim, potrzeba więc tylko przetłómaczyć i uzupełnić. Sągajło emigrant z 1831 r. Folkierski powołany do Peru, — swego dzieła rękopism 3go tomu przedłożył już Towarzystwu Nauk Ścisłych, lecz zabrał go do Peru celem ostatecznego wykończenia. Równocześnie przygotowuje powtórne wydanie I tomu, który już wyczerpany.

Gracha Henryka Niewęgłowskiego Dynamika drukuje się; ma być skończona w sierpniu. — Po skończeniu Mechaniki będzie Niewęgłowski pisał Geometrję analityczną bez względu na to, czy Sągajło swoją wyda lub nie.

Piąty tom Pamiętnika Tow. Nauk Ścisłych w Paryżu drukuje się, — znaczniejsze artykuły Ostafińskiego i Maszkowskiego z licznemi tablicami.

Do VI tomu Pamiętnika także już materjał w części zgromadzony. Między innemi pracami będzie niezawodnie zawierał monografję Girdwojnia o pszczelnictwie (z tablicami).

Kluger, jeden z autorów Hydrauliki, obecnie w Peru, przedłożył Towarzystwu pracę: „O wytrzymałości materjałów"; — o tym samym przedmiocie pisze Brandt.

E. Rykaczewskiego przekład Listów Cycerona tom II ukończony i Pisma krasomówcze i polityczne Cycerona: Rozmowa o mówcy. — Brutus czyli o sławnych mówcach. — Mówca Brutusowi poświęcony. — O doskonałych mówcach. — O Rzeczypospolitéj (o czém w przeszłym numerze była recenzja A. Sozańskiego). — O prawach — są już w obiegu xięgarskim.

Skończony również 7 tom ogólnego zbioru tłomaczonych pism Cycerona, zawierający: Pisma filozoficzne.

Węclewskiego Zygmunta przekład tragedji Eschylosa już skończony. Węclewski pracuje teraz nad przekładem tragedji Sofoklesa.

Acta Tomiciana tom IX zaczęto druk drugiego wydania.

Znany orjentalista p. Kazimirski (w Paryżu) przygotowuje dla Biblioteki Kórnickiéj tłomaczenie Gulistanu.

Źródłopisma do dziejów Unji Korony Polskiéj i W. Ks. Litewskiego, — jako i Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum może się nieco opóźnią, bo dalsze wydawnictwo wstrzymane ale tylko na czas pewien, mianowicie aż do ukończenia przygotowań do wydawnictwa Tomicjanów. zapowiedziany także na rok bieżący: Zabytek heraldyczny Mikołaja Reja już jest rozporządzony co do wydania.

ROZMAITOŚCI.

— **R. Michał Grentkowski**, rzeźbiarz, o którym na str. 79 niniejszego pisma wspomnieliśmy bardzo chlubnie, co do wykonania okładek do albumu dla Dr. T. Mateckiego, — był jedynym jednym artystą na ostatniéj wystawie Toruńskiéj, — gdzie też z wydziału naukowego był jedyny jeden wystawca prof. Dęmby z Żabikowa (Haliny) ze swoim amylometrem czyli z obliczeń matematycznych i fizycznych wynikłym przyrządem do mierzenia ilości mączki w perkach zawartéj.

Tak pierwszy jak i drugi otrzymali srebrne medale za swe — dzieła. Na nieszczęście swe artysta nasz zły los wyciągnął — osiadłszy na najniewdzięczniejszym kącie ziemi naszéj dla sztuk pięknych, t. j. we Wielkopolsce. Ztąd też jego dzieło: głowa Chrystusa, płaskorzeźba w ramach rzeźbionych w drzewie, — dostała się za nawet nie połowę téj ceny, jaką miał ofiarowaną w Berlinie — do domu hr. Kwileckich z Dobrojewa. I zacny Grentkowski rad ogromnie z tego, że ktoś choć kupił, a do tego dobry Polak!... Mamy na zapłatę innego rodzaju artystów do kilkudziesiąt tysięcy talarów, t. j. dla graczów w karty; ale ażeby dać uczciwe utrzymanie jedynemu jednemu malarzowi-artyście — Jaroczyńskiemu, i jedynemu jednemu rzeźbiarzowi-artyście — Grentkowskiemu, — u nas — na to po śmierci Seweryna Mielżyńskiego — nikt nie ma funduszów!...

* * *

— **Juljan Ochorowicz** z Warszawy złożył egzamin na stopień doktora filozofji i magistra bonarum artium. Rozprawa jego: „Die Bedingungen des Bewusstwerdens, eine physiologisch-psychologische Studie" wyszła z druku w Lipsku nakładem księgarni Matthesa, — a jednocześnie z nią i w tymże nakładzie rozprawa doktorska **Piotra Chmielowskiego**: „Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens."

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.